№ 43. Warszawa, dnia 15 (27) Października 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z KRAINY PIĘKNA.

W mieście, jak Warszawa, artystycznie ubogiem, nie mającem ani galeryi, ani muzeów, ruchoma wystawa Towarzystwa Zachęty do sztuk pięknych, musi stanowić główny punkt zborny, w którym miłośnicy sztuk pięknych szukają nowych wrażeń, śledząc rozwój młodego, lecz potężnego już i dojrzałego naszego malarstwa. Wywalczywszy sobie w ostatniem ćwierćwieczu dopiero, samoistne stanowisko wśród plejady europejskich mistrzów dłuta i pędzla, sztuka nasza sprawiała lubownikom swym tyle w ostatnich latach miłych niespodzianek, tak rozkoszne zapewniała im wrażenia, iż po każdej dłuższej przerwie, powracamy z niecierpliwem oczekiwaniem do skromnej na Krakowskiem Przedmieściu oficynki. Powracamy pewni, iż na ubogich jej ścianach spotykamy nowy jakiś dorobek, będący ogólną naszą własnością; że chociaż dalecy od przepychu Luwru a bogactw wiedeńskiego Belwederu lub dochem pruskiego militaryzmu ożywionej, a pełnej bitw, żołnierzy i pobojowisk berlińskiej galeryi, niemniej postępujemy naprzód, dążąc ku wyżynom artyzmu, których nie na pobojowisku właśnie, nie wśród apoteozy miecza szukać należy.

Od progu już, wita nas tu nie liczna, lecz doborowa drużyna starych znajomych. Z jednej strony potężny Gladyator śle dumne pozdrowienie tyrańskiemu władcy; z drugiej, pełen poetycznego uroku i prawdy Lirnik, uderza z siłą w struny, na których zda się dźwięczyć jeszcze pieśń przeszłości. Postacie to, znane w każdym szczególe czytelnikom Tygodnika, a jednak szlachetna ich prawda przykuwa zawsze oko i każe żałować, że w bronz zaklęte i na otwartym ustawione placu, nie mogą do szerszego przemawiać tłumu.

Czy tłum ten dałby się porwać pieśni bohaterskiej, na strunach liry dźwięczącej, nie wiem; ręczę jednak iż najbardziej nawet ociężały filister, nie pozostanie obojętnym, wobec nadesłanej z Paryża, pracy Pawła Merwarta.

Spoczywająca Bachantka (La bacchante au repos. Paul Merwart) to najponętniejszy typ pięknej, bezczelnie, po pogańsku urodą swą napawającej się kobiety. Odsłonięta lekko załamem skały w bluszcz spowitej, otoczona błękitem morza, które na skraju z szafirem niebios w jedną zlewa się całość, urocza rozkosznisia zdaje się napawać ciepłem jego i niezamąconą pogodą. Wyciągnięta na miękkiej skórze tygrysiej, w gruncie jak tygrys może drapieżna, z pozoru jednak nęci urokiem figlarnej kotki. Rozchylone usteczka błyskają szeregiem ząbków białych, w czarnych oczach wesołe zapalają się płomienie. Zadowolona z siebie, rączkę jedną utopiła wśród bogactwa rozrzuconych na ziemi kruczych splotów, w drugiej trzyma podniesione, soczyste, czarne grono winnej jagody.

Co robi tu skóra tygrysia, wśród skalistej groty porzucona, co znaczy ta postać naga, tak zalotnie ułożona na pustem zupełnie wybrzeżu, nie pytamy nawet. Wdzięk jej artystyczny, naturalny rysunek i koloryt ciała, każą nam zapominać o logice, z którą bądź co bądź artysta zmylił się tym razem, samotność ta bowiem i otoczenie prędzej by uosobiały poetyczne marzenia, aniżeli wypoczynek zmysłowej bachantki. Wyobraźni jednak fantazyować wolno, piękna zaś poganka stanowi prędzej studyum ciała kobiecego, niż obraz rodzajowy, od którego jasnej myśli wymagać mamy prawo.

To samo stosuje się do drugiej pracy Merwarta. Duże bowiem płótno przedstawiające z żywą plastyką typ strzelca, to znów portret lub studyum sumienne pełnej siły męzkiej postaci, z trąbką w ręku i karabinkiem na ramieniu. Ten barczysty, śmiało malowany *Tireur-gymnaste,* stanowi doskonałe przeciwstawienie z różowem, do puchów i atłasu przywykłem ciałem bachantki. Oba zaś płótna noszą na sobie tak wybitną cechę talentu, iż wdzięczni tylko możemy być panu Merwartowi za pamięć, z jaką nam dzieci swego ducha od czasu do czasu z nad Sekwany przesyła.

Rozstawszy się z tą prawdziwą ozdobą wystawy, spostrzegamy dopiero, iż pracownie miejscowych artystów, skąpy, jak dotąd plon nadesłały. Prócz znanych już większych obrazów, prócz nader ubogiego oddziału ornamentacyjnego, do którego powrócimy jeszcze, zwracają tu głównie uwagę:

Strojnisia Zarembskiego, która od kilku miesięcy z tem samem zajęciem patrzy wciąż w kawałek

zbitego lusterka i zachwycona własną urodą z zadowoleniem uśmiecha się do siebie. Po co jej zbytkowne, w bronz oprawne zwierciadła, kiej i w skorupie taka miła, że ino patrzeć jak Walkowi lub Bartkowi serce niby młotem do niej uderzy. A niech no przypnie do włosów ten mak krasny, czerwoniasty, w ręku trzymany, to miły Boże, inne dziewuchy pożółkną z zazdrości, a on, ów Walek czy Bartek, swaty z wódką przyśle na pewno. Wprawdzie przy ciemnej, gładko, po mazursku nad czołem zawiązanej chustce, mak będzie jak pięść odstawał, ale cóż to szkodzi? Opalone jej bronzowe jagody, tem okrąglejsze się wydadzą, a pełne, z trudnością przez gorset podtrzymane kształty, gotowe się poruszyć i zejść z obrazu tak realistycznie naturalną i prawdziwą uczynił artysta, tę wiochnę siół naszych.

Wspomnienia przeszłości Juliana Maszyńskiego, to wyśmienity, lecz zbyt pobieżnie wykonany pomysł. W ubogiej celce klasztornej, zawieszonej obrazami świętych i stacyami męki pańskiej, siedzi przed stalugami zakonnik malarz z paletą i pędzlem w ręku. Przed nim widnieje wielkie płótno, ze szkicem jakiegoś religijnego obrazu o unoszących się wśród chmur aniołków. Oczy jednak zakonnika, w tęsknej tonące zadumie, nie na tej świeżo rozpoczętej pracy zawisły. Nie; rozrzewnieniem i smutkiem błyszczące, patrzą one na mały, obok stalug ukryty portret kobiety. Przeszłość jak mara ułudna powstaje po raz setny może przed wzrokiem samotnika, wspomnienie jej zaś silnem być musiało, skoro wśród krzyży i madon, świeckim z pod pędzla wybiegło mu portretem, a teraz oczy z taką mocą trzyma doń przykute.

Pomysł ten rozwinięty z siłą dramatyczną i psychologiczną prawdą oddany, mógłby stanowić świetny temat do większego obrazu. Niestety jednak, postać zakonnika jakkolwiek poprawnie rysowana, mało przemawia, szczegóły celi zaniedbane, owo zaś wspomnienie przeszłości, ów portret, przedstawia kobietę tak brzydką, iż dla nikogo pokusy stanowićby nie mogła. Wrażenie też obrazu chybia zupełnie zacierając zarówno dobry pomysł, jak zalety wykonania.

Brzydota kobiety niweczy również cały efekt płótna Owidzkiego p. t. *W alei lipowej*. Szpetota może wtedy tylko przedmiot studyum stanowić, jeżeli charakterystyką swą lub szlachetnym wyrazem w dziedzinę piękna wkracza. Szablonowo jednak brzydka kobieta, pospolita i niezgrabna, a przytem wszelkiego wybitnego pozbawiona piętna, nie zdoła nigdy być wystarczającym motywem do dzieła sztuki. Tymczasem pan Owidzki wśród nader starannie i pod względem perspektywicznym umiejętnie odtworzonej alei, umieścił bardzo nieurodną i niezgrabną damę, w stroju balowym ani współczesnym, ani stylowym, o niezdecydowanym różowo szarym kolorycie. Obecność jej tem większą staje się zagadką, iż za jednego towarzysza dał jej artysta dużego wyżła leżącego pod ławką, strój zaś balowy, w nocy tylko używany, oświetlił jasnym promieniem słońca, które przedzierając się przez gęste konary lip, tworzą na ziemi ruchliwe i zmienne smugi światła, z upodobaniem odtwarzane przez Siemiradzkiego. Główna też i jedyna postać obrazu, zamieniona w osobistość typową, charakterystyczną, lub w kobietę piękną, w jedną z tych ułudnych, tak cudownie przez Calderona odtwarzanych czarodziejek, podniosłaby i zmieniła całą wartość utworu, nadając mu wyraz, którego tu brak zupełny.

To samo po części wrażenie, czyni na nas *Jeszcze antyczek*, utwór Edmunda Perle. W małej, jak bombonierka materyami wybitej i przystrojonej salce, widzimy starannie odtworzone obrazy, bronzy, broń starą, portrety i inne starożytności. Stół ugina się pod bogactwem pasów słuckich i materyi, obok zaś na czarnym słupie, widnieje mały posążek. Statuetka ta, zdaje się pochłaniać całą uwagę wpatrzonego w nią lubownika starożytności, na którego usta wybiega okrzyk: *jeszcze antyczek!* Jak dotąd, rzecz sama się tłomaczy, namiętność zaś zbieraczy zbyt jest znaną, aby jak każde z głębszych uczuć ludzkich nie mogła wdzięcznego przedmiotu do studyum stanowić. Niestety jednak, staruszek ten, w tabaczkowym surducie, z kraciastą chustką, wyglądającą z kieszeni i zielonym parasolem pod pachą, owej namiętności czy zachwytu przed antyczkiem, wcale wyrazem rysów nie zdradza. Przeciwnie, ma on sobie minę pocziwego posługacza zaledwo; a szkoda, bo dla pędzla lubującego się w bogactwie szczegółów, w bronzach drogich, materyach i aksamitach, pomysł ten stanowił wyborne pole do popisu.

Zaczem przejdziemy do więcej świeżych plonów przedstawiającej wystawy Krywulta, należy nam jeszcze rzucić okiem na dział sztuki ornamentacyjnej w osobnej salce zebrany. Ci sami prawie co w zeszłym roku wystawcy, takie same niemal okazy. Dużo tu rzeczy ładnych, umiejętnie i starannie wykończonych, czy jednak sztuka stosowana do przemysłu, nie wyjdzie u nas po za powódź malowanej porcelany? Piękne damy, pomyślcie nad czem innem. Dobry przykład dają wam tu panie: Kanigowska i Kotarbińska ładnym na materyi malowanym, a w plusz oprawnym ekranem. Dalej pani Poświkowa kwiatowymi tablicami do przystrojenia pokoju, oraz ślicznemi bratkami i klematysami; ks. Światopełk Czetwertyński inkrustowanymi stoliczkami, a wreszcie pan Leon Wiśniewski swoim oryginalnie obmyślanym, ślicznym projektem patery do owoców. Widzimy tu drzewo wyrobione delikatnie z gliny, a mające podtrzymać zapewne, srebrny lub kryształowy koszyk, u spodu którego umiejętnie oddana i wiernie z życia wzięta grupa, przedstawia wieśniaczkę, budzącą, czy też ciągnącą męża pijaka do domu. Zawinięte rękawy jej i jędrna a silnie zaciśnięta pięść zdaje się wskazywać, iż rozprawa będzie tu mniej słodką od pomieszczonych na koszu owoców.

Anatol Krzyżanowski.

CO LUBIĘ.

(Fragment.)

Lubię tę wielką ciszę w przyrodzie,
Kiedy przed burzą wszystko jak senne:
Milkną drzew gwary — żuraw na wodzie
Duma i lilje bledną promienne,
A czarne chmury, przewrotów gońce,
Jak wrogi światła idą na słońce.

Lubię, gdy z szarych, ciężkich obłoków,
Błyskawic blaski lecą co chwila —
Grom wstrząsa ziemią tak, że z potoków
Deszczu, strwożona czoło wychyla —
I co stworzyły ludzkie: trud — praca —
Szalony żywioł w mgnieniu wywraca.

* * *

Lubię gdy potem tęcza zapłonie,
Znak odwiecznego z bóstwem przymierza!
Lubię gdy spokój wraca i w łonie
Znów krąży ciepła krew, czysta, świeża —
A z oczu widna myśl święta, błoga:
Że ból i radość są w ręku Boga.

I lubię wszystkie życia zawody,
Bo uczą cenić co zacne — szczytne —
Włos srebrny wielbię — cenię wiek młody —
Trosk czarne widma i sny błękitne —
Uśmiech pogodny — suchy zgrzyt męki —
Cios co w pierś godzi i... uścisk ręki.

* * *

Życie, z przeciwieństw złożone całe,
Czy szczęście krasi — czy ból je mroczy!

. . . .

Lecz nad talizman co daje chwałę —
Złoto — raj ziemski — lubię twe oczy...

Ich blask mię wiedzie, nawet przez ciernie
Bez krwawych śladów — a w zawierusze,
Dawno bym może zatracił duszę,
Gdyby nie lśniły przy mnie tak wiernie, —
I te szafiry żywe, iskrzące,
Niewskazywały gdzie prosta droga —
Lub nie ostrzegły z nich łzy gorące:
Stój! oto przepaść bez dna — bez Boga!

One mi jutrznią, co błyska w dali, —
Świetlanych celów przez nie dopatrzę...
Gdy w nich się święty Żnicz wraz zapali,
Jeden błysk, zwątpień ślad nawet zatrze!

. . . .

Więc siejcie dalej świateł promienie,
Na podróżnego czoło zmęczone;
Ja was nad wszystko na ziemi cenię,
Oczy błękitne... błogosławione.

Zygmunt Grabowski.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

Od miesiąca już byłam panią Sokolską we wsi Sokołów. Stosunek nasz nie uległ żadnej zmianie z chwilą opuszczenia Wólki. Jak w podróży tej kilkunasto wiorstowej, zasunięta w kąt powozu nie patrzyłam na mego męża, tak i w ciągu 30 dni Czerwca nie zmieniło się w niczem moje postępowanie.

Kiedy przy zachodzie słońca, stanęliśmy przed wielkim, modrzewiowym dworem, Sokół wyskoczył pierwszy, podając mi obie ręce. Na jednej z nich przecież wsparta, wstępowałam na wschody wy-

sokiej werendy, witana przez służbę. Mieszkanie było obszerne, wygodne, ozdobne, szczególniej też pokoje przeznaczone na mój wyłączny użytek.

— A gdzież pańskie — zapytałam.

Sokół spojrzał na mnie zdziwiony i po chwili dopiero odrzekł:

— Nie mam ich, sądziłem...

— To pan źle sądziłeś — przerwałam niezadowolona.

Staliśmy oboje rozebrani z podróżnych okryć, na progu gabinetu graniczącego z moim. Mrok wieczorny rozpostarł zasłonę na wszystko, nie pozwalając mi poznać dokładnie wyrazu twarzy Sokoła. Pochylił głowę i odparł łagodnie.

— Nie pani, nie sądziłem źle, tylko...

— Źle — zawołałam przerywając powtórnie — bo zapomniałeś o zobowiązaniu przyjętem w dniu oświadczyn jeszcze.

— Pamiętam je, lecz nie przyznaję mu praktycznego znaczenia. Byłem pewny, że z chwilą wejścia pod dach mój, rozwieją się postanowienia, nie posiadające według mnie rozsądnej zasady. Jeżeli zaś odwołuję się do praw mych, to idę za głosem uczucia, bo cię kocham Anno.

I wyciągnął ku mnie ręce, a ja odsunęłam się szybko na stronę. Przez chwilę stał jak odurzony, wreszcie po krótkiem milczeniu wyprostował się i rzekł z największą goryczą.

— Więc takie ma być nasze wspólne życie, jakie będę pani zawdzięczał? Nie powinienem był spodziewać się nic lepszego, stosownie do zobowiązania, jakie mi pani w porę przypomniałaś. Wiedziałem wprawie o braku miłości z twej strony dla mnie, lecz marzyłem o otrzymaniu przynależnego mi szacunku. Iskra ta miała zapłonąć gorętszym płomieniem przy wspólnem pożyciu, a tymczasem odpychasz mnie, pani. Czem zasłużyłem na to? Czemu mam przypisać tę fatalną omyłkę? Czemu z chwilą wstąpienia w dom ten odbierasz mi spokój? Com ci zawinił? Uważałem cię zwykle za rozpieszczone, zepsute dziecko, z którego przecież możnaby uczynić kobietę w pełnem znaczeniu tego słowa. Zdawało mi się, że gdy w serce tego dziecka wpadnie ziarno miłości, to stanie się mojem szczęściem... Tymczasem spotkał mnie zawód okropny.

Słuchałam słów tych z głową zwieszoną, z rękami założonemi na piersiach. Sokoł mówił prawdę. Każde jego zdanie było niezbite w swojem dowodzeniu.

— Pragniesz zatem, pani, bym się usunął? — mówił dalej. — Stanie się według twej woli. Oddaję pod twe rozkazy dom cały, bądź w nim panią wszechwładną. W razie potrzeby jakiej, jestem na zawołanie.

Zapanowało milczenie. Z otwartych okien dolatywał śpiew ptasząt, szmer liści, a młody mąż stał z zaciśniętemi dłoniami, ze wzrokiem odwróconym ode mnie.

— Czy nie masz mi pani co do powiedzenia dziś jeszcze? — zapytał.

— Nic — brzmiała chłodna odpowiedź.

Po głębokim ukłonie oddalił się szybko.

Zostałam więc osamotniona w nowem mieszkaniu. On nie był pokornym niewolnikiem, nie leżał mi u nóg, tylko rzuciwszy w oczy wszystkie słuszne zarzuty, zdobywał nademną prawa przewagi moralnej. W głębi duszy przyznawałam mu to. Któż inny na jego miejscu, zgodziłby się na podobny stosunek.

Pierwszy dzień poślubny rozpoczął epokę wspólnego niby, a jednak pod żadnym pozorem nie zgadzającego się z sobą naszego życia. Wspólne wizyty w sąsiedztwach, wspólny stół i interesa, były wszystkiem, co nas do siebie zbliżało. Pozornie pragnął Sokoł nie zwracać mej uwagi na siebie, a jednak postępowanie takie delikatne w najwyższym stopniu, nie mogło przemijać bez zostawienia śladu w mych myślach.

Pod koniec miesiąca odwiedziła mnie po raz pierwszy moja matka. Siedzieliśmy właśnie przy obiedzie. Na widok dobrze znanego wolanta i pary siwków, klasnęłam w ręce z radości i wybiegłam naprzeciwko. Ze łzami rozrzewnienia uściskała mnie mama.

— A gdzież twój mąż?

Jak gdyby w odpowiedzi na to pytanie, ukazał się w drzwiach poważny, spokojny, brunatny Sokół.

— Witam mamę serdecznie w naszym domu, witam — mówił całując jej ręce.

— Ah! panie zięciu, coś mi blado wyglądasz. Może ci ten dzieciak dokucza nadto?

Dzieciak z odwróconą głową udał zajęcie przy różach, obrastających werendę.

Po skończonym obiedzie, matka oglądała mieszkanie.

— A gdzież pokoje męża.

— Na końcu domu — brzmiała moja odpowiedź po chwilce wahania.

— Dlaczego tak daleko?

— Nie chcę przeszkadzać żonie rannem wstawaniem — tłomaczył zięć.

Mama wpatrzyła się w nas z wyrazem prawdziwego przywiązania, ale zarazem badawczo jakoś.

— Jesteś dobrym, bardzo dobrym, Jasiu, obawiam się tylko, czy nie nadto rozpieszczasz Anusię.

— O! nie — rzekł Jasio.

W jednem tem słowie mieściło się tyle ironii, że nagle krew uderzyła mi do głowy.

— Widzisz, panie zięciu, musi to nie być prawdą, kiedy Anusia płonie cała.

Zimne, lodowate spojrzenie męża prześlizgnęło się po mnie.

— Taki dziś upał — szepnęłam na swoje usprawiedliwienie.

Dzień cały zszedł na obejrzeniu gospodarstwa, rozmowie potocznej, wieczorem przy odjeździe mamy, prosiliśmy ją oboje o rychłą, drugą wizytę.

— Nie mogę często wydalać się z domu, wreszcie teraz, będzie kolej na was.

— Z przykrością muszę odmówić na razie. W nadchodzącej porze żniw, będę tu ciągle obecny.

— Co nie znaczy wcale, abym i ja dlatego miała się zrzekać zobaczenia Wólki — zaprotestowałam żywo i zapominając się prawie dodałam.

— O! mamo, pozwól mi przyjechać do siebie na dni kilka.

— Chętnie, moja jedynaczko, byle tylko mąż nie sprzeciwił się temu.

— Tak mi niekiedy tęskno za tobą, mamusiu; za jeziorem — zawołałam nie hamując dłużej nerwowego rozdrażnienia.

— Jak mateczko odjedziesz, zostanę tu sama, sama jedna.

— Nie, moje dziecko. Przy sercu Jasia nie powinnaś tęsknić za nikim, więc i za mną nie.

— Przy sercu Jasia — powtórzyłam w myśli.— Alež ja przy niem nie byłam i nie będę.

— Wszak i twoje zapewne czuje — mówiła dalej mama — że mu najlepiej przy tem drugiem sercu.

Pan zięć zwrócił się właśnie z jakąś uwagą do przechodzącego na szczęście chłopca od kredensu.

— Być może — odpowiedziałam niewyraźnym szeptem — mimo tego pragnę pojechać do Wólki.

— Proś więc męża o pozwolenie — rzekła mama wesoło. — Ucałuj go przy mnie.

— Ależ, ależ... — zawołałam popchnięta lekko w stronę jego — mamusiu... czy można... czy...

— Cóż to? Wahacie się? — badała mama ze śmiechem.

Trzeba zatem było uczynić krok jakiś naprzód, bez narażenia się na jakiekolwiek podejrzenie. Ograniczyłam się więc na położeniu mej dłoni na ramieniu Sokoła.

— Pan Sokolski pozwala mi na wszystko. Nieprawdaż? — zagadnęłam w tonie żartobliwym.

On stanął jak wryty. Leciuteńkie dotknięcie mych palcy zdawało się go paraliżować.

— Ależ wy się mieszacie, jak gdyby narzeczeni dopiero.

Odskakując w inną stronę rozśmiałam się nienaturalnym głosem.

Jeszcze kilka banalnych słów, kilka uścisków i wolant unoszący mamę znikał zwolna w tumanach kurzu. Długie zamyślenie przykuło mnie na tem samem miejscu. Biedna mama! Łudziła się do ostatniej chwili naszem szczęściem, łudziła się i teraz jeszcze snując w myśli różową nić miłości, od której tak daleko przecież stała jej córka. Z westchnieniem pobiegłam na wschody.

Dnia jednego, w powrocie z przechadzki z pola, przypatrywałam się dziewczętom i chłopcom koszącym zboże. Wesołe śmiechy i śpiewki rozlegały się dokoła, szelest koników polnych, brzęk kos, dzwoniło w powietrzu, wszystko oddychało swobodą, młodością, życiem. Jedna tylko z dziewcząt wyróżniała się w tem kole. Pracowała pilnie, nie zważając na żarty parobków, na zaczepki rówiennic. Cóż mogło spędzić spokój z tego gładkiego czoła, co było przyczyną zadumy malującej się na dorodnem, czerstwem obliczu? Zainteresowana zbliżyłam się do niej.

— Cóż to znaczy, Marysiu, że widzę cię dziś nie w humorze? Powinnaś być inną w przeddzień prawie twego wesela, bo o ile wiem, zapowiedzi już wyszły.

Marysia ta była biedną, ale najładniejszą w całej wsi dziewczyną.

— To też te zapowiedzi cały frasunek, proszę wielmożnej pani.

— Jakto? przecież twój narzeczony jest przystojnym chłopcem.

— Co mi tam z tego, kiedy go nie lubię.

— Nie lubisz? Dlaczego więc wychodzisz za niego za mąż?

— O! wielmożna pani, powiem wszystko, jak przed matką, boś też pewnikiem lepsza od mojej. Ojcowie cierpią biedę w chacie, ostatnia krowa, cały nasz dobytek, zdechła niedawno, na zimę możeby więc jeść co nie było, a Kuba bogaty chce żenić się ze mną, ale, ale... proszę pani...

Tu głos Marysi załamał się nieco.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIEŚCI Z OBCZYZNY.

Przedstawienie się autora.—Numa Gilli i jego oskarżenie. — Radość niechętnych.—Nieurodzaj we Francyi. — Mademoiselle Loulon. — Anglicy i ich usposobienie. — Mityng dzieci w Londynie.

Rozpoczynając pogawędkę z Czytelnikami Tygodnika, radbym przedstawić się jak najkorzystniej, z owym tak upragnionym uśmiechem ugrzecznienia, co zawsze pociąga a nigdy się nie zużywa.

Trudne to zadanie, chęci choćby najlepsze niezawsze się spełnić dają, przebaczcie więc, jeźli tylko czasem zadowolnić was zdołam.

Zaczynam od Paryża, słusznie zwanego stolicą świata, który i pięknością i ruchliwością mieszkańców i inicyatywą we wszystkich zagadkach społecznych, zasługuje na to pierwszeństwo.

Otóż wiadomo wam, że niejaki Numa Gilli, deputowany radykalny, członków komisyi budżetowej publicznie oskarżył o złodziejstwo.

— Jesteście wszyscy złodziejami, Wilsonami, mówił im w oczy. Przed zrobieniem was członkami komisyi, byliście biedakami, dziś rzucacie miliony, zkądżeście do nich przyszli tak łatwo i w tak krótkim czasie? Jeżeli wyprzecie się tego, to wyjaśnijcie jakim sposobem tak się zbogaciliście?

Przyzna każdy, że robiąc taki zarzut i w tak obelżywy sposób, trzeba być albo najzupełniej pewnym siebie, albo... przy zmysłach nie zupełnie zdrowych. Członkowie komisyi w pierwszej chwili nic nie odrzekli: zdumienie ich i opinii publicznej było wielkie. Powstały więc sarkania, domysły, szepty; rozbudziła się ciekawość jak też wybrną tak ciężko oskarżeni, a pan Numa Gilli zadarł nos do góry i jak średniowieczny rycerz z powagą bohaterską przechadzał się po bulwarach paryzkich.

Gdy skandal ten rozszedł się po świecie, niechętni dla Francyi i Francuzów, nuż rzucać na nich błotem, potępiać, szydzić, zwać plugawym trądem i grozić pogardą świata, jako ludźmi do gruntu zepsutemi, dążącymi do ostatecznego zatracenia.

Dziś zmieniło się położenie rzeczy: pan Andrieux jeden z członków tej komisyi, zaniósł skargę do ministra sprawiedliwości o wytoczenie sprawy przed sądem.

Oskarżyciel jest bednarzem z powołania, bez wykształcenia i pojęcia spraw publicznych. Powiadają ludzie znający się na tem, że Numa Gilli sam nie wie co plecie, że powtarza jak najbezczelniejsze plotki i że został napompowany przez niespokojne duchy, lubujące się w skandalach i we wszystkiem co sprawia zamieszanie.

Ciekawość też publiczna niezmiernie jest podrażniona i jeżeli są tak złośliwi, że oskarżenie pana Gilli przyjęli z radosnem zatarciem rąk, większość znaczniejsza smuci się, pewna, że członkowie komisyi z tej próby wyjdą zwycięzko.

Drugą kwestyą nierównie ważniejszą, jest nieurodzaj we Francyi. Według urzędowych raportów, wyżywienie Francyi, wymaga rocznie przeszło dziewięćdziesiąt milionów kwintalów pszenicy i żyta. Tyle rolnicy nie zebrali i braknie na chleb najmniej siedmnaście milionów kwintalów pszenicy, które z obczyzny muszą być sprowadzone. Przy podatku pięć franków od korca, skarb z tego źródła otrzyma ośmdziesiąt pięć milionów franków, na które złożą się, jak to zwykle bywa... najbiedniejsi.

W obecnym ruchu literackim zwracają na siebie szczególną uwagę, powieści wydane w Paryżu pod tytułem: *Clair de lune* przez Guy de Maupassanta. Pisane są wszystkie z odznaczającym się talentem, a jedna z nich p. t. Mademoiselle Loulon w formie dowcipu satyrycznego, przedstawia śmieszności wyższego towarzystwa francuzkiego, nieżałując ostrych słów na wytknięcie wszystkich jego braków, niedorzeczności i zupełnego upadku moralnego, uwięźniętego w konserwatyzmie jak owad w bryle bursztynu.

Panna Loulon bohaterka powieści, jest to kilkunastoletnia dzieweczka, uosobienie tegoczesnego podlotka paryzkiego. Nie jest ona piękną, a nawet niepowabną, ale inteligentną, dobrą choć za bardzo rozpieszczoną i czasami nieznośną. Uczy się z musu, dla uzyskania jedynie patentów naukowych i dla mody wymagającej uczyć się wiele, aby mieć o czem paplać w towarzystwie i módz przy każdej sposobności popisać się z wielką uczonością.

Matkę kocha, wybacza więc jej brak wykształcenia, utrzymując, że twarz jej pełna łagodności prawdziwie macierzystej, jeszcze milszą przez to się wydaje. Dla ojca jednak nie ma tego wyrozumienia. Co chwila z pewnym naciskiem łaje go, poprawia w wyrażeniach, wytyka stare pojęcia, miesza się do każdej rozmowy, wygłasza w nich swoje zdania w kwestyach najsubtelniejszych, słowem jest wiernem odbiciem tegoczesnej młodości, pragnącej jednym skokiem stanąć w szrankach dojrzałości i zdobycia środków do używania życia w całej pełni jego ponęt.

Anglicy bez zaprzeczenia, są narodem najpraktyczniejszym w Europie a najsamolubniejszym w całym świecie. Przez lat prawie dwieście rżnęli się wzajemnie jak barany, krwi strugi wylewali, spychali przeciwników z drabiny społecznej w przepaść nędzy a nawet poddawali pod topór kata wysokich bardzo dostojników już wyższych niemających nad sobą. W tych zapasach wzajemnych i w walce ze Stuartami, pragnącymi gwałtem okiełznać naród i okuć w kajdany władzy, okrucieństwo posunęli do barbarzyństwa i wykazali tak straszne strony swego charakteru, że obudzając wstręt dziwią zarazem, iż mogli wydawać z pomiędzy siebie tak wielkich niegodziwców.

Tym jednak sposobem, zdobyli stanowisko dziś przez nich zajmowane, jakiem mogą, chlubić się słusznie, a na którem za jednym Anglikiem stoi cała Anglia i czuwa, aby go krzywda w niczem niedotknęła. Lada pauper, zwany ulicznikiem, w trepkach i z gołą głową przebiegający ulice, wie o tem dobrze i jest dumny jak lord najbogatszy, że jest Anglikiem.

To też, gdy rozeszła się wiadomość, że się ma zebrać *mityng dzieci* w Londynie, nikt się nie zdziwił i każdy powiedział: to sprawa rodziców i opiekunów. Przed rozpoczęciem też roku szkolnego, na mityng zwołany przez dwunastoletniego Marcina Ewansa, zebrało się dziatwy około pięćset i młodzik prezydujący na nim, oświadczył, że celem zebrania jest przedstawienie ministrowi oświaty, zmniejszenia godzin siedzenia w szkołach i zniesienia kary klęczenia i stania w kącie. Podanie przyjęte zostało, będzie więc rozważone, co pomału z pewnością zmieni cały dotychczasowy system naukowy szkolny, według starej rutyny prowadzony a wymagający gwałtem reformy.

Mityng ten dzieci jakkolwiek co najmniej dziwny, zawsze świadczy o dodatniem urządzeniu społecznego porządku, w którym swoboda słowa nawet w dziecku jest szanowaną.

K.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Helena nie domyślała się jednak, że Emilia postara się z pewnością przeszkodzić jej zamiarom i tak się też stało w istocie. Panna Lereboulley zręcznie poprowadziła Helenę ku grupie kobiet, w pośród której chciała ją zamknąć jak w obronnej twierdzy. Lereboulley uścisnąwszy rękę Ludwika, przysunął się do Heleny, Ludwik korzystał z tego i zamieszał się w tłum mężczyzn, zalegających przejścia salonu; jedni z nich słuchali uważnie muzyki, inni tłumili dyskretnie ziewanie.

Hérault spotkał się wkrótce z Klemensem i sir Jamesem lecz po chwilowej rozmowie rozstał się z nimi, dążąc nieznacznie do miejsca zkąd mógł, nie będąc widziany przez Helenę, podziwiać swobodnie Diannę i cieszyć się rozkoszną myślą, że ta kobieta, której piękność ogólny wywoływała podziw, podzielała jego uczucia i wcale nie okazywała się dlań obojętną. Słyszał naokoło siebie szmer pochwał i krew gorącą falą biła mu z serca do mózgu.

Dianna z najniewinniejszą w świecie miną słuchała mistrzowsko wykonywanych utworów, nie szczędziła artystom oklasków i zdawała się całą duszą tonąć w falach czarującej muzyki.

Pomimo to jednak, doskonale rozumiała wszystko co działo się koło niej i zwróciwszy nieco głowę spotkała się z wejrzeniem Ludwika. Wtedy podniosła do ust wachlarz i lekkiem muśnięciem przesłała ukochanemu pocałunek, poczem znów z całą uwagą zaczęła słuchać muzyki. Czuła ciążące na sobie spojrzenia Heleny i chcąc uniknąć jakiego starcia, postanowiła w pierwszym antrakcie poszukać męża i pod pozorem silnej migreny oddalić się do domu. Rozsądek i przezorność nakazywały jej unikać starannie bliższego zetknięcia z nieprzyjaciołką. Gdy oklaski zgłuszyły ostatnie dźwięki jakiegoś finału, Dianna podniosła się z krzesła i skinieniem głowy przywołując Klemensa, wsparła się na jego ramieniu.

— Czuję się troszkę cierpiącą — rzekła — proszę więc, zaprowadź mnie do małego saloniku, przeznaczonego dla artystów. Chciałabym przed odjazdem uścisnąć dłoń Wordlera i powinszować mu dzisiejszego powodzenia.

— Czy cię drażni obecność pani Hérault? — z chłodną ironią zapytał Thauziat.

— Być może — odpowiedziała Dianna, bystrem orzucając go spojrzeniem. Trudno porównywać się z nią, piękność moja gaśnie obok jej wdzięków, w istocie jest dziś olśniewająca. Jaki ten jej mąż głupi, że ją zwodzi. Ale mężowie po większej części nie odznaczają się rozumem.

— Z wyjątkiem sir Jamesa.

— O! sir James nie może tu iść w porównanie.

— Masz słuszność, sir Olifaunt jest wyjątkowym człowiekiem!

— Jakiś ty dziś wesoły, Klemensie. — Gdybyś takie ciekawe rzeczy prawił pani Hérault z pewnością rychlej pozyskałbyś jej względy.

— No, no, nie gniewaj się Dianno, ja tylko żartowałem.

— Nie gniewam się bynajmniej. Wiesz dobrze Thauziat, że tobie jednemu pozwalam na wszystko.

Rozmawiając w ten sposób doszli do jadalni zamienionej dziś na bufet i napełnionej tłumem osób, z których jedne zbliżały się do stołu, inne piły lub jadły stojąc. Wszędzie stali lokaje gotowi na każde skinienie gości.

— Postaraj się dla mnie o winogrono i kieliszek mrożonego szampana — rzekła Dianna do swego towarzysza.

Klemens powrócił za chwilę, niosąc na srebrnym talerzyku pyszne winne grono, którego żółtawe i przezroczyste jagody połyskiwały jak złoto.

— Owoc ten pochodzi zapewne z tej ślicznej winnicy, którą podziwialiśmy w Evreux — rzekła pani Olifaunt. — Doprawdy przewyborne winogrono. W zeszłym roku Lereboulley przysłał mi krzew winny, na którym jego ogrodnik zaszczepił różę, tym sposobem miałam jednocześnie owoce i kwiaty... Trzeba przyznać, że Lereboulley jest człowiekiem umiejącym sobie i drugim uprzyjemnić życie — dodała oglądając się pilnie na wszystkie strony czy gdzie nie ujrzy Ludwika.

Ale Hérault nie ukazywał się jakoś. Dianna wzięła z rąk Klemensa kieliszek szampana i niosąc go do ust rzekła:

— Piję na intencyę twojej miłości Klemensie.

I przechylając nieco w tył głowę piła zwolna a każdy ruch jej nacechowany był zalotnym wdziękiem, poczem wsparła się znowu na ramieniu de Thauziata i zwróciła się do małego saloniku, poprzedzającego gabinet senatora. Salonik był prawie pusty, w chwili jednak, gdy Dianna ze swym towarzyszem kierowała się ku wyjściu, we drzwiach przeciwległych ukazał się Lereboulley, prowadząc panią Hérault. Za niemi podążała Emilia. Dianna ścisnęła rękę Klemensa i szybko obejrzała się dokoła, ale nie czas już było się cofać i tym sposobem uniknąć spotkania, którego następstwa mogły się stać groźne dla wszystkich bliżej interesowanych w tem osób.

Piękna Angielka z najpowabniejszym na ustach uśmiechem i niezmąconym spokojem w błękitnych źrenicach, przysunęła się śmiało do Heleny, jakby się uważała za uczciwą kobietę, pomimo to dziwne miotało nią wzruszenie, a niepojęty strach ogarniał całą jej istotę. Szlachetny spokój pani Hérault przyśpieszał bicie jej serca, które starała się ukryć chłodząc się z wdziękiem wachlarzem. Emilia, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo, usiłowała odciągnąć Helenę w stronę sali koncertowej, lecz nie Lereboulley ją, tylko ona jego prowadziła teraz, kierując się tam gdzie chciała. Spostrzegłszy Diannę postąpiła ku niej, jak gdyby gotując się na spotkanie nieprzyjaciela. Pani Olifaunt zatrzymała się, nie chcąc okazać, że się boi a skłoniwszy się pierwsza, zaczęła śmiało:

— Nie miałam sposobności spotkania pani ani razu od owej pory, gdy widziałam panią pozującą do obrazu Madonny w małym kościołku w pobliżu Evreux. Jakże się miewa śliczny synek?

Helena słuchała słodkiego brzmienia jej głosu, któremu cudzoziemski akcent szczególniejszego dodawał uroku.

W wyrazie twarzy, spojrzeniu i słowach pięknej pani nie było nic, coby zdradzało fałsz lub obłudę.

Helena powiedziała sobie w duchu, że się pomyliła i że musi gdzie indziej szukać nienawistnej istoty, która wydarła jej serce męża.

— Jesteś pani szczęśliwą matką—ciągnęła tymczasem dalej pani Olifaunt — wszystkie kobiety mogą pani zazdrościć.

Dianna mogła była jeszcze Bóg wie jak długo przemawiać w ten sposób a Helena nie przerwałaby jej ani słówkiem. Uwagę młodej kobiety zwrócił wachlarz z żółtych piór, który Dianna trzymała w ręku; na szyldkretowej oprawie wachlarza połyskiwały litery wysadzane brylantami, lecz Helena nie mogła przeczytać składających je wyrazów. Było to zapewne godło, ale jakie? Jakiś głos tajemny szepnął jej, że są to zapewne te same słowa, które wyczytała na owej pamiętnej ćwiartce pargaminu. W oczach jej pociemniało, krew uderzyła do głowy a wuszach tętniało jak dzwonem. Czując, że nogi chwieją się pod nią, z konwulsyjną siłą chwyciła za ramię Emilię i zwróciła się do pani Olifaunt:

— Prześliczny wachlarz — rzekła spokojnym na pozór głosem — czy pani pozwoliłaby mi z bliska go obejrzyć?

Dianna w milczeniu podała młodej kobiecie wachlarz przytwierdzony jedwabnym, złotawego koloru sznurem. Helena uchwyciła go szybko i przeczytała na szyldkrecie następujące wyrazy: *I love and i hate.* Krew lodem ścięła się w jej żyłach, gdyż zrozumiała po angielsku raz już w łacińskim języku napotkane godło. Teraz nie miała już żadnej wątpliwości, że ta piękna i przewrotna kobieta była jej rywalką.

Gwałtowny gniew wstrząsnął całą jej istotą, ogarnęła ją szalona chętka wydrapania paznokciami tych kłamliwie spokojnych oczu i pokaleczenia ślicznych ust na których z rozkoszą spoczywały nieraz usta Ludwika. Chciała poniżyć i zdeptać tę kobietę wydzierającą jej pieszczoty i miłość ubóstwianego męża.

W drżących dłoniach ściskała machinalnie wachlarz i stłumionym od wzruszenia głosem powtórzyła kilkakrotnie już w myśli przeczytany napis:

— *I love and i hate...*

— To znaczy po angielsku: kocham i nienawidzę — wytłomaczyła Dianna sądząc, że młoda kobieta nie rozumie wyrytego godła.—Ale nie należy przywiązywać wielkiej wagi do tych słów, gdyż jak wszystkie godła wyrażają one więcej niż powinny. Nie jestem ani tak czułą ani tak złośliwą.

— *Amo et odi* — podchwyciła z żywością Helena — wszak to znaczy jedno i to samo?

— Najzupełniej — potwierdził Lereboulley.

Dianna w tej chwili przeczuła grożące niebezpieczeństwo; cofnęła się krokiem w tył lecz pani Hérault postąpiła za nią:

— Słusznie mówią, że intrygantki nie powinny nigdy pisać — zaczęła z pogardliwą ironią.—A jednak pani na bilecikach opatrzonych tą charakterystyczną dewizą, naznaczasz schadzki mojemu mężowi!..

Pani Olifaunt zbladła jak płótno i z okrzykiem zgrozy wydzierając wachlarz z rąk Heleny, przysunęła się do zmieszanego Lereboulleya.

— Czy pani dobrze oceniłaś doniosłość słów swoich? — zawołał senator stając pomiędzy dwoma kobietami.

— Lepiej niż ta istota oceniła doniosłość swego postępowania. Przed chwilą z haniebną obłudą ośmieliła się mówić mi o mojem dziecięciu, pomimo, że jest kochanką jego ojca!

— Pozwoliszże pan znieważać mnie w ten sposób w swoim własnym domu? — krzyknęła z gniewem piękna pani.

A gdy senator zdumiony z trwogi i oburzenia, nie mógł przemówić ani słówka, Dianna zawołała znowu:

— No! brońże mnie przecie!

Gniew zeszpecił jej piękne oblicze a zaciśnięte dłonie i groźna postawa w jednej chwili przeistoczyły elegancką światową damę w dziewczynę nizkiego pochodzenia, którą Thauziat wyciągnął z kałuży. Helena dumna i chłodna przypatrywała się jej się w milczeniu, gniew jej ustąpił miejsca wielkiej bezmiernej boleści. Zdawało jej się, że przepaść jakaś otworzyła się w jej sercu i że wszystkie jej radości, duma i cnota zginęły w niej na wieki. Gorycz rozczarowania zalała jej duszę, ona tak ufna i mężna zwątpiła teraz o wszystkiem. Obecność tej kobiety przejmowała ją wstrętem, zapragnęła ciszy, spokoju i chciała już co prędzej znaleźć się w domu, obok swego dziecięcia. Zwracając się więc do Klemensa, w milczeniu przysłuchującego się tej całej scenie, rzekła:

— Bądź pan łaskaw odprowadzić mnie do męża.

A gdy Thauziat podał jej ramię, Helena skłoniła się senatorowi i wyszła, nie obdarzywszy swojej upokorzonej rywalki ani jednem spojrzeniem. Emilia podążyła za niemi.

Lereboulley chwilę jeszcze stał jak odurzony, poczem zwrócił się do pani Olifaunt.

— Dianno! — zawołał — jeśli pani Hérault powiedziała prawdę, biada tobie i Ludwikowi!

— Ta kobieta jest szaloną! — z uniesieniem zawołała Dianna! — Jakto? miałbyś wierzyć słowom zazdrością zaślepionej kobiety?... Doprawdy ja ani słowa nie rozumiem z tego co ona mówiła! Mąż jej nadskakiwał mi, gdy jeszcze był kawalerem. Prześladował mnie nawet swoją miłością... wiesz dobrze o tem! Być może, że znalazła u niego mój bilet wizytowy, który mógł się tam dostać wypadkowo, ale czyż z tego powinna wyciągać wnioski, że ja tego głupca Héraulta odwracam z drogi obowiązku. Cóż ja temu winna, że oczy wszystkich zwracają się na mnie, że wszyscy mężczyzni otaczają mnie hołdami a mężowie najpowabniejszych żon pragną pozyskać moje względy. Wiem, że kobiety zazdroszczą mi i nienawidzą mnie, ale czy to słusznie i sprawiedliwie niewinną potępiać istotę? Przecież ja nie staram się nęcić ku sobie wielbicieli. Ah! to okropne! A co jeszcze najstraszniejsze to, że nie ująłeś się nawet za mną i pozwoliłeś tej zuchwałej kobiecie znieważyć mnie w ten sposób, przemówiłeś zaledwie kilka niezrozumiałych wyrazów... ładna obrona, nie ma co mówić... Widzę doskonale, że mnie już nie kochasz... bo jeśli mężczyzna kocha kobietę, to nietylko sam ją szanuje, ale jeszcze drugim nakazuje szacunek!

— Dianno! — zawołał błagająco Lereboulley.

Lecz Dianna głośnym wybuchnęła płaczem, nie słuchając przedstawień senatora, który drżał z obawy, aby ktoś nie wszedł i nie stał się mimowolnym świadkiem przykrej sceny.

— No, no, Dianno, uspokój się, sama nie wiesz co mówisz — łagodził ją Lereboulley. — Jak możesz przypuścić, że ja cię nie kocham, ale na Boga otrzej łzy, może ktoś nadejść... a wtedy coby sobie pomyślał spotkawszy nas sam na sam i ciebie tonącą we łzach... Proszę cię, przejdź chociaż do mojego gabinetu, tam nikt cię już nie zobaczy.

Dianna dała się wreszcie nakłonić i wszedłszy do gabinetu, osunęła się na kanapę z wdziękiem nimfy drażniącej oko satyra. Senator niespokojnym krokiem przebiegał wszerz i wzdłuż pokój. W tej chwili nie obchodził go koncert, którego druga część rozpoczynała się właśnie, ani tłumy gości napełniające jego salony, wszystko to zbladło wobec rozciągłości nieszczęścia jakie go spotkało.

— Ah! ten Ludwik! gdybym mógł w to uwierzyć — odezwał się wreszcie stłumionym od wzruszenia głosem...

— Jakto? jeszcze nie przekonałam cię o mej niewinności? A cóżbyś uczynił gdybym ci powiedziała bez ogródki: „Brzydzę się kłamstwem i ponieważ chcesz wiedzieć czy Ludwik Hérault jest moim kochankiem, mówię ci otwarcie, że tak jest w istocie.”

— Dianno nie żartuj w ten sposób, jeśli mnie zwodzisz, jeszcze raz powtarzam: biada ci!... Dla zadowolenia mej zemsty nie cofnąłbym się przed niczem!

— Czy i mnie nawet wyrządziłbyś co złego?

— Być może, za nic nie ręczę!

— Chciałabym to widzieć! — zawołała pani Olifaunt, obdarzając tak zalotnem i wyzywającem spojrzeniem Lereboulleya, że ten ostatni zapomniał w jednej chwili o gniewie i podejrzeniach. Zamiast urazy obudziło się w jego sercu namiętne uczucie a z ust miłosne popłynęły słowa:

— Dianno! jakże jesteś piękną! Człowiek nie wahałby się popełnić występku, aby tylko mógł posiadać ciebie!

— A jeśli mnie kto posiada, mój drogi, ile powinien dać, aby zachować moją miłość?

— Rozkazuj, Dianno! Wszystkie twoje życzenia natychmiast będą spełnione!

— Dobrze! zobaczymy później!—chłodno i obojętnie odparła młoda kobieta. — Tymczasem zaś podaj mi ramię i wracajmy do salonu, dłuższą nieobecność mogłaby wywołać jakie podejrzenia.

Kończąc te słowa uśmiechnęła się i przytuliła do ramienia starca.

— Dość żeby nas kto widział w tej chwili — dodała z przymileniem — sądzę, że nie wątpiłby iż się kochamy.

Lereboulley otoczył ramieniem jej kibić i pochylając swą gładką, ogorzałą twarz przylgnął ustami do białego ramienia Dianny. Piękna pani obdarzyła go za to lekkim klapsem w policzek i szybko wyzwoliła się z jego objęć.

— Nie myśl już o tem, mój przyjacielu — rzekła.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Korespondencya z Włocławka.

Korespondencyę prowincyonalną porównać można do kalejdoskopu, w którym coraz to inne przesuwają się obrazki. Zacznijmy od poważnej uroczystości, która się odbyła w dniu 14 b. m., poświęcenia starej naszej katedry, której założenie przez biskupa kujawskiego Macieja z Gołańczewa, na gruzach zniszczonej przez Czechów i Krzyżaków, datuje się od roku pańskiego 1340.

W uroczystość poświęcenia niedawno odbytego, towarzystwo śpiewaków odśpiewało mszę świętą, dobranemi głosy, podnosząc ducha modlących się ku Panu nad pany! W niedzielę i święta tłumy napływają do katedry, z nadzieją usłyszenia znakomitego mówcy i kaznodziei ks. Stanisława Modrzyńskiego, który nie tak dawno opuścił mury akademii duchownej i objąwszy wikaryat przy katedrze biskupiej, wprawia w zachwyt słuchaczy. Daj Boże, aby jak najdłużej przemawiał i kołacząc do serc naszych korzył w duchu, odrywając choć chwilowo od odmętu ludzkich namiętności ku wyżynom tylko myślą dościgniętym.

Włocławek zaznacza się czynami godnemi choć pobieżnej wzmianki. Głównym ich protektorem jest pan Michał Kochanowicz, który podał piękny projekt przedstawień amatorskich na dochód wdów i sierot pozbawionych funduszy i środków do jakiegoś przedsiębierstwa. Sam cel i dwie gwiazdy sceny amatorskiej, panna H. M. i pan Br. ściągnęły masę widzów, co stało się dźwignią dla wdowy i sierot po zmarłym niedawno J. Sza.

Władza nasza chętnie przychyla się do niesienia w ten sposób pomocy nędzy losowej a prezydent miasta nie przestaje rozdawać wyciągającemu ręce ubóstwu drzewa i pieniędzy, za co jest błogosławiony przez tych, których jak dobry ojciec broni od głodu i zimna!

Lowelasom z bulwaru nad Wisłą, przypominamy, że wszelkie zaczepki nieprzyzwoite, wykreślają każdego, a więc i ich także z liczby ludzi dobrze wychowanych. Wartoby się nad tem zastanowić.

Paulina Biernacka.

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

Z prawdziwą przyjemnością notujemy w naszej kroniczce tygodniowej, iż dość liczne kółko pań warszawskich myśli nad ulżeniem podczas zimy losu biedaków i nędzarzy. Między innemi panie: M., Kl., Kr., B., F. i O. z ulicy Aleksandrya, postanowiły przez cały czas zimy wydawać u siebie codziennie z rana i wieczorem gorącą herbatę z bułkami. Tę samą myśl powzięły, znane opiekunki biednych, siostry Zwol., z ulicy Wiejskiej. Bezpłatne gorące obiady z dwóch potraw, wydawane będą od 13 Listopada między innemi w fabryce p. K. przy ulicy Czerniakowskiej, w domu pp. Gu., na placu św. Aleksandra (na osób 20), u p. Win., na Nowolipiu, w składach braci Et., na Smoczej.

Podobne zajęcie się jest czynem zarówno chrześciańskim jak obywatelskim, tak serca jak i rozumu. Gdyby we wszystkich potrzebach społecznych pamiętano o tem, jakżeby wiele rzeczy w praktyczniejszym rozwijało się u nas kierunku.

Komitet resursy obywatelskiej zajął się szczerze urozmaiceniem dość monotonnych, jak dotychczas, rozrywek dla swych członków oraz ich rodzin.

W każdą sobotę przez Listopad i Grudzień będą urządzane wieczorne zebrania, w formie zaimprowizowanych rautów i z zastrzeżeniem zwyczajnego stroju wizytowego.

Zaproszeni artyści i amatorowie będą wykonywali bez wszelkich z góry ułożonych programów produkcye muzyczne, wokalne i deklamacyjne.

W razie zejścia się odpowiedniej liczby młodzieży, w porze przedadwentowej, rauty będą się kończyć tańcami i wspólną składkową kolacyą.

Jednocześnie kółko inżenierów, zapisanych tak licznie w poczet członków resursy z inicyatywy ś. p. Spornego, prezesa reprezentantów, zamierza wznowić dawne zebrania piątkowe.

Celem tych zebrań jest wzajemne informowanie się w sprawach technicznych i pewne zespolenie życia koleżeńskiego.

Jednemu z artystów rzeźbiarzy przedstawiono pastuszka ze wsi Uszyce, Tomasza Gardziela.

Piętnastoletni chłopiec pomimo braku wszelkiej nauki wyrzyna kozikiem w drzewie figurki i ozdoby, uznane przez znawców za względnie doskonałe.

Oddany pod opiekę protektora sztuk pięknych pana B., Tomaszek kształcić się będzie w Warszawie poczem wyjedzie za granicę.

Nasi wieśniacy. W tych dniach, włościanin z parafii Ostrów (powiat Włodawski), nazwiskiem Wawrzyniec Gryzio, kupił w jednym z handlów tutejszych żyrandol bronzowy za kwotę rs. 510, który ofiarował do kościoła ostrowieckiego. Oprócz żyrandola nabył on dwie figurki bronzowe i kałamarz, jako upominki dla księdza proboszcza Rybińskiego. Drugi wieśniak, nieznanego nazwiska, nabył na licytacyi po hr. Pusłowskich żyrandol za rs. 150, dla kościoła parafialnego w Sosnowcach.

Mucha, od czasu przejścia na własność i pod redakcyę pana Władysława Buchnera (Ner Buch), ukazała się już w dwóch numerach, które pozwalają poznać jej obecny kierunek humorystyczny. Ze zmianą formatu na elegancką ósemkę ładnego papieru, zmieniła bardzo dodatnio i swój charakter, przestała być trywialną, dwuznaczną, płaską, jak się to jej przedtem zdarzało, a stała się dowcipną, przyzwoicie wesołą, a przez to dającą się czytać z zajęciem, bez żadnego niesmaku, tak, że może znaleźć się w ręku nawet młodego pokolenia płci obojej.

Współpracownikami są wszyscy znani na polu humorystyki tygodniowej, a rysunki pochodzą z pod ołówka Franciszka Kostrzewskiego, braci Mucharskich, Sandeckiego i innych.

Taka staranność redakcyi, powinna otrzymać w nagrodzie powodzenie, wśród jak najliczniejszych czytelników.

Świeży a wymowny przykład złudzeń emigracyjnych przedstawia p. R, niegdyś właściciel folwarku w okolicach Rudy Guzowskiej.

W Czerwcu minęło dwa lata, gdy p. R. sprzedawszy folwark, z kapitałem wynoszącym 17,000 rs., wyjechał do Ameryki w nadziei zrobienia majątku.

Obecnie R. powrócił do kraju bez grosza, zbiedzony i schorowany z powodu rozmaitych przykrych przejść jakich doznał za oceanem.

Żona R. w Ameryce umarła a dwoje dzieci wzięli teraz na wychowanie krewni.

Nieszczęśliwy emigrant znalazł czasowy przytułek u swego brata księdza, który będąc przeciwny szukaniu szczęścia za oceanem, przepowiedział niegdyś bratu dzisiejsze smutne następstwa.

Wyjątkowe miasto. Majątkowe położenie Frankfurtu nad Menem jest obecnie tak pomyślne, że magistrat zamierza zaproponować deputowanym miejskim przy układaniu przyszłorocznego budżetu, obniżenie dotychczasowego podatku od mieszkania i komornego o 10 procent; od mieszkań w cenie do 300 marek nie ma być wcale pobierany podatek. Nadto postanowiono także na przyszłość znieść składki nauczycieli i urzędników na rzecz kasy wdów i sierot.

Błogosławione miasto.

Poligloci w rodzinach panujących. Dzienniki niemieckie doniosły niedawno, że księżniczka pruska Zofia oddaje się gorliwie studyom języka greckiego. Wiadomość tę powtarzając jeden z dzienników londyńskich, podaje obecnie zestawienie tych monarchiń i monarchów, którzy władają największą liczbą języków. Na czele monarchiń stoi cesarzowa Elżbieta austryacka, znająca nietylko języki wszystkich krajów koronnych Austryi, ale nadto mówiąca biegle po francuzku, angielsku, włosku i hiszpańsku. Następnie idzie królowa rumuńska Elżbieta, która pisuje utwory literackie w trzech językach, a nadto rozmówić się może prawie we wszystkich innych językach europejskich. Królowa Krystyna hiszpańska, która również włada prawie wszystkiemi językami nowożytnemi, oddaje się właśnie studyowaniu języka baskijskiego, niezmiernie podobno trudnego dla cudzoziemców. Na czele monarchów poliglottów stoi cesarz austryacki, a po nim następują królowie Grecyi i Włoch.

Doktorki w Ameryce Północnej. Obecnie praktykuje w New-Yorku przeszło 150 doktorek (Lady doctors), podczas gdy w Brooklynie i w innych miastach Stanów Zjednoczonych więcej niż podwójna liczba takich doktorek zajmuje się praktyką lekarską. Niektóre z tych doktorek w New-Yorku mają regularnego dochodu rocznego po 2,000 funtów sterlingów; dwie z nich dwa razy tak wysoką sumę, a jedna z tych służebnic Eskulapa najwięcej poszukiwana, zarabia rocznie 5,000 funtów (około 50,000 rubli). Doktorki zajmują się dotychczas przeważnie choremi swej własnej płci.

Pogrzeb senatora Correntiego według opisów gazet włoskich, odbył się z wielką uroczystością w Medyolanie. Cezar Correnti od lat 20 pracował nad wielką historyą Polski, która była owocem olbrzymiej pracy i wytrwałych badań; trzeci i ostatni tom in 8-o skończył Correnti na krótki czas przed śmiercią. Wstawał on codziennie o godzinie 4-ej rano, aby pracować nad swojem dziełem, które miało się ukazać jednocześnie po włosku i po francuzku. Wydawca Rotszyld z Paryża miał właśnie przyjechać dla zawarcia ostatecznego układu z autorem, gdy coraz groźniejszy stan tego ostatniego, zmusił wydawcę do zaniechania podróży. Kiedy ukaże się w druku to wielkie dzieło Correntiego— niewiadomo. Znakomity mąż stanu nazywał je swoim testamentem moralnym. Do pracy tej dopomagali zmarłemu między innymi Józef Ignacy Kraszewski, Malwina Ogonowska, hr. Władysław Kulczycki. Pani Ogonowska była obecną przy śmierci Correntiego.

Teatr polski w Wiedniu. Pisma berlińskie donoszą, że w Wiedniu dawać będzie przedstawienia polski teatr krakowski. Niegdyś Pfeiffer, dyrektor krakowskiej trupy, zrobił podobneż usiłowanie, nie z wielkiem powodzeniem.

Zagrożone miasto. Donoszą z Nowego Jorku pod d. 6-ym b. m., iż miastu Raleigh, położonemu w północnej Karolinie, grozi wyludnienie. Pewne charakterystyczne zjawiska, świadczące o podziemnych, popod fundamentami miasta odbywających się przewrotach, najwyższy wśród mieszkańców wywołały popłoch. Szumi coś, syczy i kotłuje się we wnętrzu ziemi, kroki przechodniów głucho tętnią po trotuarach, a przejeżdżające wozy dudnią, jakby całe miasto próżnię pod stopami miało. Zdaje się, iż wody podziemne podmywają grunt lub gazy dobywają się ze spodnich warstw i lada chwila całe miasto zapaść się może. Szum wód czy gazów nocą szczególnie wyraźnie daje się słyszeć. Badania gruntu do tej pory nie wyświetliły jeszcze przyczyny wyżej opisanych zjawisk, czy jednak nie byłoby bezpieczniej dla mieszkańców zagrożonego miasta, nie czekając na wyświetlenie, opuścić je czemprędzej?

Podobno książę Walii zamierza pójść za przykładem swojej dostojnej matki i wielu innych europejskich książąt i zaciągnąć się w szeregi literatów. Przyrzekł on jednemu z pism londyńskich, sportowi poświęconych, nadesłać dokładny i szczegółowy opis łowów na niedźwiedzie w Siedmiogrodzie, w których za kilka dni przyjmie udział.

Gdy przybyła do księcia deputacya prosić o tę pracę, narazie odmówił, twierdząc, iż nie umie pisać dla publiczności, ale przybyli dopóty nalegali, dopóki następca tronu nie przyrzekł, iż uczyni zadość ich żądaniu.

Oryginalne widowiska odbywają się obecnie w Londynie. Aktorami są maryonetki, a przedstawienia te nie są bynajmniej przeznaczone dla dzieci, lecz dla osób dorosłych i mają być arcyzabawne. Około 300 lalek przyjmuje udział w widowiskach, a repertuar obejmuje trzy opery, trzy sztuki sensacyjne, sześć fars i sześć baletów.

Pierwszą operą, jaką dawano, był Robert Dyabeł. Walka na rynku była świetnie uscenizowana. Maryonetki na koniach, w pełnym rynsztunku, napadają na siebie z komiczną zaciekłością. Gdy która spadnie z konia, pachołkowie wynoszą ją z placu boju, trębacz intonuje tryumfalne melodye, a Raimboult na ośle objeżdża szeregi.

Z wielką zręcznością przedstawiona jest także scena zmartwychwstania zakonnic; przemiana na urodziwe tancerki dokonywa się z niesłychaną szybkością, przyczem fruwają po scenie nietoperze, sowy i t. p. Oryginalna ta trupa przybyła z Medyolanu, a za kulisami prawdziwi artyści śpiewają role, wykonywane na scenie przez lalki.

Połów pereł w zatoce Meksykańskiej przechodzi jakoby najśmielsze oczekiwania. Większa część muszli wydobywanych z głęki wód, zawiera perły, a na wybrzeżach zatoki panuje śród ludności takie samo wzburzenie, jak przy odkryciu nowych żył złota.

Wyławiane perły są bardzo często niezwykłej wielkości i czystości i tak między innemi wydobyto jedną, która ważyła 75 karatów i sprzedana została na miejscu, o wiele niżej, niż istotna jej wartość, za 14,000 dolarów.

Apartamenty cesarza Wilhelma w pałacu królewskim w Rzymie składają się z pięciu komnat oprócz garderoby i pokoju kąpielowego. Pierwsza komnata, rodzaj przedpokoju, ma ściany z szarego marmuru, pokryte flamandzkiemi gobelinami; druga — sala do przyjęcia, ozdobiona jest kosztownemi gobelinami Bouchégo; sufit malowany przez Parricciego, wyobraża geniuszów sztuki sypiących kwiaty. Meble są z rzeźbionego drzewa, dywan pochodzi z Wrocławia. Z salonem tym graniczy inny, chiński, w którym ściany i sufit tworzą lustra, w ramach z laku, ozdobione malowidłami chińskiemi; całe urządzenie odpowiednie. Gabinet do pracy umeblowany jest w stylu Ludwika XVI, sprzętami pochodzącemi z zamku królewskiego w Turynie, na suficie znajduje się fresk Breseliego wyobrażający wojnę i pokój z napisem: „*Si vis pacem para bellum*”. Ściany sypialni wybite są kosztownemi materyami jedwabnemi, które specyalnie w tym celu robione były w fabryce Solei w Turynie, na białem tle przetykane są purpurowe kwiaty. Łóżko z drzewa palisandrowego, wykładanemetalem, z wysokim rzeźbionym i pozłacanym baldachimem jest arcydziełem sztuki stolarskiej; na suficie widnieje geniusz snu, malowany przez Bisea Garderoba wreszcie wybita jest jasną materyą jedwabną i urządzona z niebywałym przepychem, obok niej zaś znajduje się pokój kąpielowy. Na Kapitolu wielka sala główna przyozdobiona została pięciu wspaniałemi gobelinami, przedstawiającemi łowy Dyany i inne epizody mitologiczne, jak narodziny Romulusa i Remusa; kilka mniejszych gobelinów zaś przedstawia wypadki z dziejów domu sabaudzkiego.

Bogaty arcybiskup. Najbogatszym zapewne księciem katolickiego kościoła w Europie jest prymas węgierski. Dobra jego opłacają 250,000 złr. podatku, a więc wartują przeszło sześć milionów złr.

— Więc Iks tak zapadł niebezpiecznie?
— Nie ma już żadnej nadziei.
— Zgubiło go widać to, że ma dwie nogi.
— Jakto, nie rozumiem.
— Widzisz, wiele razy pił wódkę, a robił to najmniej sześć razy dziennie, to pił zawsze dla równowagi, na prawą a potem na lewą... to trochę było za wiele. Gdyby więc miał jedną tylko nogę...
— Aha, rozumiem, zgubiło go to, że nie był kaleką.
— Naturalnie.

* * *

Klub dla dzieci. Znany humorysta paryski Quatrrelles, z okazyi założonego niedawno klubu damskiego w Paryżu, napisał w *Figarze* parodyę, w której, między innemi, proponuje założenie klubu dla dzieci i podaje nieletniej publiczności następujący projekt statutów: 1. Stowarzyszenie ma nosić nazwę *Babyclub*. 2. Liczba członków stałych jest nieograniczona. 3. Każde dziecko, które pragnie być przyjęte do klubu, może zostać wprowadzone jedynie przez handlarza zabawek lub cukiernika. 4. Balotowanie odbywa się zapo-

mocą gałek z cukierków; przyjęcie oznaczają gałki z pomadki żółtej, zaś odrzucenie—gałki z czekolady. Gałki spożyte podczas aktu wyboru przez członków komisyi, nie liczą się. 5. Kandydaci na członków nie mogą mieć mniej, niż dni osiem i więcej niż lat siedem. Dowód szczepienia ospy musi być przedstawiony. 6. Bez balotowania, jako członkowie honorowi przyjmowani będą: książęta królewscy, nadto dzieci jenerała Boulanger i p. Lessepsa. 7. Rozprawy polityczne wzbronione są w lokalu klubu. 8. Corocznie urządzona będzie wystawa malowanych przez członków klubu obrazków. 9. Gry hazardowe nie są w klubie dozwolone, z wyjątkiem loteryjki, albowiem ta gra ułatwia naukę czytania cyfr. 10. Stały bufet stoi do rozporządzania członków. Dla młodszych ustawiona będzie odpowiednia liczba butelek ze smoczkami i mamek (cena za kwadrans 1 fr.). 11. Członkowie klubu, po których rodzice nie przyjdą lub nie przyślą wieczorem, znajdą w sali na czytelnię przeznaczonej kołyski, a w osobnych salonach łóżeczka z siatkami i t. p. 12. Wrazie jeżeli który z członków dopuści się w lokalu klubu przekroczenia przeciw obyczajom ulegnie wyłączeniu. Winowajca ponosi koszta oczyszczenia danego salonu.

* * *

— Jakże ci się podobała moja sztuka teatralna: Trójka złodziejska, wczoraj przedstawiona?

— Wyborna, nadzwyczaj harakterystyczna. a trójka jest tak prawdziwa, że nawet to co między sobą mówi, jest kradzione.

* * *

— Cóż panu jest właściwie? — pyta doktor pacyenta nieumiejącego określić swego cierpienia.

— Sam nie wiem co się ze mną dzieje. Dawniej pracowałem jak wół, jadłem jak wilk, w nocy spałem jak niedzwiedź, a dziś...

— To radzę panu w takim razie — odpowiada doktor — udać się do weterynarza.

RÓŻNE MYŚLI.

Demokraci przy dworze są często arystokratami w swej wiosce.

Desmoustier.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Nakładem S. Lewentala świeżo opuściły prasę następujące dzieła:

Straszny Dziadunio, powieść przez Maryę Rodziewiczównę, nagrodzona na konkurskie „Świtu". Treść nadzwyczaj zajmująca i z wielkim talentem skreślona.

Patryotyzm i Kosmopolityzm, studyum społeczne przez Elizę Orzeszkową.

Nakładem księgarni T. Paprockiego i S-ki wyszły następujące książki:

Życie i zdrowie człowieka. Hygiena popularna dla wszystkich, przez A. Schroot'a, tłomaczył z upoważnienia autora i opracował d-r med. A. Fabian. Treść obejmuje: I. Warunki zasadnicze bytu ludzkiego ustroju. II. Ustrój ludzki i jego pielęgnowanie. III. Wiek, pory życia i ich pielęgnowanie. IV. Rozmaite stosunki ogólne i społeczne. V. Objawy pospolitszych chorób i przepisy zachowania się w obec nich. VI. Duchowe życie człowieka i hygiena umysłu.

Kalendarz Powszechny na rok 1889. Bardzo starannie opracowany, zawiera prócz części kalendarzowej wiele pięknych wierszyków i nowelek, prócz tego wskazówki gospodarskie dla właścicieli ziemskich oraz jako premium bezpłatne dodaje 2 kalendarze: ścienny i kieszonkowy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. H. Jasiewicz N. Margielan. Żądanych początków stanowiących całe półrocze, nabyć można za rubli dwa i te natychmiast prześlemy po odebraniu polecenia.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 12 Октября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).